

665

Teatr

# PRÓBA Z PROLOGIEM

KRYSTYNA STARCZAK-KOZŁOWSKA

**R**ealizując „Warszawiankę” na bydgoskiej scenie Krystyna Meissner poprzedziła sztukę obszernym prologiem, w którym wprowadza publicystyczną dyskusję nad przyczynami wybuchu i klęski powstania listopadowego. Posługuje się w tym celu tekstami, zaczerpniętymi z „Historii powstania listopadowego” Stanisława Barzykowskiego, pamiętników Joachima Lelewela i książki Maurycyego Mochnackiego pt. „Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831”. Aktorzy ubrani w swe prywatne stroje, wyraźnie adresują to przesłanie do nas, widzów XX wieku, dając do zrozumienia, że historia się powtarza, podobnie działają mechanizmy masowych zrywów.

Jak wynika z prologu — Meissner interesuje teatr polityczny, wręcz publicystyczny. Teatr o nas dzisiaj, podejmujący poprzez rozrachunek z przeszłością — ostrą dyskusję nad postawami i sprawami współczesnych Polaków. Teoretycznie założenie słuszne, zobaczymy jednak, jakie wyniki z niego konsekwencje dla przedstawienia samej „Warszawianki”. Rozgrywane jest ono w formie próby teatralnej, aktorzy narzucają na siebie niedbale fragmenty historycznych strojów, które wiszą spokojnie na wieszaku. Ci, którzy poprzednio wygłaszali kwestie postaci historycznych — wcielają się w ich role. Występuje więc Chłopicki (Ryszard Jaśniewicz), Małachowski (Bolesław Bombor), Skrzynecki (Wiesław Cellari), Pac (Mieczysław Wlelicz), Wysocki (Jacek

Płatkowski). Przewodzą oni jakby dalszy ciąg dyskusji, którą na podstawie przekazów historycznych prowadzi im 18-letni Meissner w prologu. Tylko że na rzeczowe przedłużenie tej dyskusji nie ma właściwie materiału w tekście Wyspiańskiego, który jest utworem poetyckim, nastrojową impresją, a nie rzeczową analizą przyczyn klęski powstania, jaką chce też uczynić reżyserka. W tym jej podejściu kryje się główne źródło niedosytu, jaki wywołuje ta realizacja „Warszawianki”.

Miejsce do gry wyznaczyła Meissner nieco dziwne: część widowni i proscenium. Publiczność posadziła na scenie i w dalszych rzędach widowni. Ci lekkomyślni, którzy dali się zwieść pomysłowi reżyserki i usiedli na scenie, potem przez cały czas gorzko żalują: nie dochodził do nich połowa kwestii, podawanych przez aktorów na widowni, nie widzą też dokładnie wielu tam rozgrywanych scen, a zwłaszcza tej, która należy do najważniejszych momentów sztuki: gdy miłanowicie wchodzi stary Wiarus. Nie trzeba udowadniać, że jest to obok Chłopickiego, druga centralna osoba dramatu. Właśnie dlatego, że jest to postać niema, stanowi swoisty kontrpunkt dla reżonerstwa wodza powstania. Bez Wiarusa nie ma na scenie Olszynki Grochowskiej, on jest jedynym namacalnym dowodem, że niedaleko salonu toczy się krwawa tragiczna bitwa. Rola znamienita, niezmiernie trudna, bo obrosła legendą wywodzącą się od Sołskiego.

Tymczasem w bydgoskim spektaklu widzowie siedzący na scenie nie widzą nawet twarzy Wiarusa, niektórzy ledwie zauważają jego wejście — i doprawdy niewiele mogą powiedzieć o tej kreacji, stworzonej przez Adama Krajewicza.

I tak przez cały czas. Po wyznaczonym do gry miejscu przesuwają się wciąż postacie, panuje jakiś ruch — jak to na próbie. Wszystko to zamiast skoncentrować rozprasza uwagę widza, przeszkadza w wytworzeniu się klimatu, bez którego „Warszawianka” nie istnieje. Odnosi się wrażenie, że kwestie podawane są chaotycznie (pod względem dykcji czasami nieznośnie), że raczej postaci nie zostały wypunktowane, przez co zaciera się ostrość konfliktu.

Krystynie Meissner interesują bohaterowie ukazani nie tyle z ludzkiej, co z historycznej per-

spektywy — i tu tkwi błąd. A. postacie Wyspiańskiego — to ludzie z krwi i kości: są nosicielami nie tylko poglądów, ale i uczuć. Tymczasem raczej serca w tym spektaklu właściwie nie dochodzą do głosu. Dlatego m. in. błąd i nieprzekonująco wypadły sprawy panienek (Maria — Krystyna Bartkiewicz, Anna — Katarzyna Gałaj). Nie odczuwa się prawie żadnej więzi między Marią a Chłopickim. Ten ostatni w interpretacji gościnnie występującego na bydgoskiej scenie aktora Teatru Wybrzeże, Ryszarda Jaśniewicza, ma w sobie jakąś siłę, ale zdaje się być wewnętrznie wypalony. Nie dręczą go bynajmniej wątpliwości natury moralnej, pastkę pokrywa wielościami. Może dlatego tak efektownie operuje fillzankami z salonowej załawy, stawiając je kolejno przed każdym z rozmówców.

Krystyny Meissner nie obchodzi niuansów psychologiczne, jakie przeżywają bohaterowie u Wyspiańskiego i pewnie dlatego żadna postać nie mogła zaistnieć w pełni. Wszystkie niuansy jałowym reżonerstwem, którego pod koniec spektaklu nie są w stanie zdynamizować efekty pirotechniczne.

Tak powstało przedstawienie trochę nieskoordynowane, pełne wewnętrznych pęknięć, pozbawione napięcia, poetyckiej atmosfery, a co najważniejsze — niewiele wnoszące do meritum dyskusji po obszernym prologu.

I tak na dobrą sprawę to po owym prologu inscenizacja „Warszawianki” okazała się już niepotrzebna.

Teatr Kameralny w Bydgoszczy. Stanisław Wyspiański — „Warszawianka”. Opracowanie tekstu prologu i reżyseria — Krystyna Meissner. Scenografia — Ryszard Strzembala.



Na zdjęciu: Ryszard Jaśniewicz — Chłopicki i Wiesław Cellari — Skrzynecki (fot. Tadeusz Link)